

SERIA:

APOLOGETYKA

AUTOR:

Frank J. Sheed

TYTUŁ:

Teologia dla początkujących



FRANK J. SHEED

Teologia dla początkujących

Wstęp: Janusz Pyda OP

Posłowie: Michał Golubiewski OP

Przekład: Justyna Grzegorzczak

WYDAWNICTWO W DRODZE, POZNAŃ 2020

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału

Theology for beginners

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2020

© Copyright for the Polish translation by Justyna Grzegorzczak, 2019

Tłumaczenie na podstawie wydania Ignatius Press, 2017

Redaktorki prowadzące – EWA KUBIAK, JUSTYNA OLSZEWSKA

Redakcja naukowa – DR MICHAŁ GOLUBIEWSKI OP

Redakcja językowa – LIDIA KOZŁOWSKA

Korekta – AGNIESZKA CZAPCZYK, LIDIA KOZŁOWSKA

Skład i łamanie – PILCROW STUDIO

Redakcja techniczna – KRZYSZTOF LORCZYK OP

Projekt okładki i layoutu – KRZYSZTOF LORCZYK OP

Grafika na okładce – MNZ|UNSPLASH.COM

Nihil obstat

Poznań, dnia 18 maja 2020 roku, ks. dr Adam Sikora, cenzor

Imprimatur

Poznań, dnia 19 maja 2020 roku nr 2235/2020, biskup Damian Bryl,

wikariusz generalny

ISBN 978-83-7906-331-4 wersja drukowana

ISBN 978-83-7906-332-1 wersja elektroniczna

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie 1

ul. Kościuszki 99

61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62

sprzedaz@wdrodze.pl

www.wdrodze.pl

Znaczna część tej książki ukazywała się w około dwudziestu tygodnikach diecezjalnych pod tytułem Teologia dla świeckich. Pragnę podziękować przy tej okazji wydawcom za hojną gościnność ich łamów. Szczególne podziękowania składam panu Josephowi A. Breigowi z „Universe Bulletin” w Cleveland, który jako pierwszy zaproponował ukazanie się tej serii.

F.J. SHEED (1956)

Spis treści

WSTĘP: PO CO KOMU TEOLOGIA? — 11

Dla kogo zatem jest ta książka? — 11

Sheed i Ward — 14

Trzy wyzwania dla wierzących — 18

ROZDZIAŁ PIERWSZY: PO CO STUDIOWAĆ TEOLOGIĘ? — 21

ROZDZIAŁ DRUGI: DUCH — 25

Duch poznaje, kocha i ma moc — 25

Duch tworzy to, czego materia zrobić nie może — 26

Duch nie zajmuje miejsca w przestrzeni — 28

Duch jest zawsze sobą — 29

ROZDZIAŁ TRZECI: DUCH NIESKOŃCZONY — 33

Bóg jest duchem nieskończonym — 33

Bóg jest wszechobecny i wieczny — 34

Wiedza, miłość i moc Boża — 36

ROZDZIAŁ CZWARTY: TRÓJCA ŚWIĘTA — 39

Trzy Osoby — 39

Zarys doktryny Trójcy Świętej — 40

Tajemnica, nie sprzeczność — 42

ROZDZIAŁ PIĄTY: TRZY OSOBY — 45

Ojciec i Syn — 45

Duch Święty — 46

Równość w Majestacie — 48

Przypisywanie działań — 50

ROZDZIAŁ SZÓSTY: LUDZKI ROZUM A DOKTRYNA O TRÓJCY ŚWIĘTEJ — 53

Tajemnica — 53

Przyswoić sobie doktrynę — 54

Bóg jest Miłością — 56

ROZDZIAŁ SIÓDMY: STWORZENIE — 59

- Wszystko z niczego — 59
- Bez Boga nic nie ma sensu — 60
- Materia, aniołowie, ludzie — 62
- Jak stwarzał Bóg — 64

ROZDZIAŁ ÓSMY: NATURA CZŁOWIEKA — 67

- Dusza i ciało — 67
- Boże prawo a wolność — 69

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: ŻYCIE NADPRZYRODZONE — 73

- Cel nadprzyrodzony — 73
- Łaska uświęcająca — 75
- Wiara, nadzieja, miłość — 77
- Sprawności nadprzyrodzone — 79

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: UPADEK — 81

- Upadek aniołów — 81
- Upadek Adama — 82
- Skutki upadku Adama — 84
- Jak odnowić upadły rodzaj ludzki? — 86

ROZDZIAŁ JEDENASTY: ODKUPICIEL — 89

- Bóg stał się człowiekiem — 89
- Obraz naszego Pana — 91
- Chrystus: Bóg i człowiek — 92
- Człowieczeństwo Chrystusa — 95

ROZDZIAŁ DWUNASTY: ODKUPIENIE — 101

- Cierpienie i śmierć — 101
- Męka, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie — 103
- Prawda, życie, zjednoczenie — 104

ROZDZIAŁ TRZYNASTY: KOŚCIÓŁ WIDZIALNY — 107

- Struktura Kościoła — 107
- Kościół powszechny i apostołski — 108
- Kościół jest jeden — 110
- Kościół jest święty — 112
- Nauczanie prawdy — 115

ROZDZIAŁ CZTERNASTY: MISTYCZNE CIAŁO CHRYSTUSA — 119

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY: MATKA BOŻA — 123

Syn, który wybrał sobie Matkę — 123

Niepokalane poczęcie i wniebowzięcie — 124

Nasza Matka — 126

ROZDZIAŁ SZESNASTY: ŁASKA, CNOTY, DARY — 129

Cnoty moralne — 129

Łaska uczynkowa — 130

Dary Ducha Świętego — 131

Utrata łaski — 133

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY: SAKRAMENTY — 135

System sakramentalny — 135

Szafarze sakramentów — 136

Jak się udziela sakramentów — 137

Co przynoszą nam sakramenty — 138

Odpuszczenie grzechów — 139

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY: EUCHARYSTIA I MSZA ŚWIĘTA — 143

Rzeczywista obecność — 143

Przeistoczenie — 145

Komunia pod jedną postacią — 147

Ofiara mszy świętej — 147

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY: ŻYCIE PRZYSZŁE — 151

Śmierć — 151

Piekło — 152

Czyściec — 154

Niebo — 157

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY: KONIEC ŚWIATA — 161

EPILOG: LUDZIE ŚWIECCY W KOŚCIELE — 163

POSŁOWIE — 171

Po co komu teologia?

Proszę wybaczyć, że zacznę od osobistego wspomnienia. Być może nie powinno się rozpoczynać wprowadzenia w taki sposób, ale akurat w przypadku tej konkretnej książki nie potrafię inaczej. *Teologia dla początkujących* Franka J. Sheeda nie jest dla mnie po prostu dobrą publikacją, wartą polecenia i omówienia. Ta książka wiele lat temu otworzyła mi oczy na piękno teologii rozumianej jako intelektualne wpatrywanie się w Boga dzięki Jego słowu, objawieniu i darowi rozumu. Sheed obiecał mi kiedyś na kartach tej właśnie, niewielkiej przecież książeczki, wielkie rzeczy – jeśli tylko zaufam, że nie ma bardziej fascynujących tematów niż natura Boga Jedynego, Trójca Święta, Bóg-człowiek czy działanie łaski w człowieku. Dziś, po ponad dwudziestu latach od momentu, gdy po raz pierwszy sięgnąłem po *Teologię dla początkujących*, mogę powiedzieć, że sama książka dała mi znacznie więcej, niż jej autor zapowiadał, a teologia okazała się przygodą jeszcze bardziej fascynującą, niż obiecywała książka. *Teologia dla początkujących* Franka J. Sheeda wprowadziła mnie do świata, który okazał się bezkresny i fascynujący, piękny i w swym pięknie niewyczerpany, tajemniczy i klarowny jednocześnie – świata teologii, czyli Boga poznawanego poprzez słowo i rozum. Mam wobec tej książki dług wdzięczności, ale nie zamierzam go spłacać tą przedmową. Tego typu długów po prostu się nie spłaca i spłacić nie da. Chcę raczej polecić czytelnikowi książkę Sheeda tak, jak wskazuje się na drzwi, przez które można dostać się do tajemniczego i nieznanego ogrodu, o którym dotychczas ledwo się słyszało, do ogrodu pełnego pięknych roślin i fascynujących zwierząt, słońca i owoców – rajskiego ogrodu teologii, w którym wypatruje się Boga nie po to, aby się przed Nim ukrywać, ale aby Go spotkać.

DLA KOGO ZATEM JEST TA KSIĄŻKA?

Kilka lat temu na spotkaniu w duszpasterstwie akademickim „Beczka” pojawił się młody człowiek. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nie był on ani studentem, ani człowiekiem wierzącym, ani nawet Polakiem. Przesiedział całe spotkanie z miną wskazującą na wielki, choć daremny wysiłek zrozumienia tego, o czym była mowa. Po spotkaniu podszedł do mnie, aby się przedstawić.

Przyjechał do Polski przed kilku laty, zamieszkał tu i podjął pracę nauczyciela języka angielskiego. Miał około trzydziestki, był już po studiach i za jakiś czas zamierzał wrócić do swojego kraju. Skoro nie był chrześcijaninem ani w ogóle człowiekiem religijnym, po co zatem przyszedł na spotkanie duszpasterstwa akademickiego? Otóż powód, jaki wyjawiał, był zadziwiająco prosty.

„Kiedy wyjeżdżałem do Polski – opowiadał – znajomi mówili mi, że to kraj arcykatolicki i pełen ludzi wierzących. Podobno jedyny taki w Europie. Wszyscy tu mieli być ochrzczeni, wszyscy mieli być katolikami i większość nawet chodzić w święta do kościoła. Wszystko się sprawdziło. Dokładnie tak to wyglądało. Już ze swojej własnej obserwacji dodałbym jeszcze jedno – na każdej nieomal imprezie, na której byłem, wcześniej czy później temat rozmów zbacał w stronę religii, wiary, moralności, księży, Kościoła. To mnie bardzo zaciekało. Zacząłem szukać kogoś, kto mi opowie o tym całym chrześcijaństwie czy katolicyzmie, wyjaśni, w co wierzy i dlaczego tak, a nie inaczej. Zacząłem szukać kogoś, kto mi po prostu »opowie chrześcijaństwo«. To już trzeci rok, jak szukam. Jedni mówią, że nie są duchownymi, i odsyłają mnie do księdza. Księża wysyłają mnie na jakieś kursy. Kilka razy poszedłem, ale miałem wrażenie, że prowadzący sam nie rozumie, o czym mówi, a wszelkie pytania traktuje jak atak. Kiedy nawet dochodziło już do jakiejś indywidualnej rozmowy, nikt nie był mi w stanie wyjaśnić, dlaczego – na przykład – wierząc w Ojca, Syna i Ducha Świętego, chrześcijanie utrzymują, że są monoteistami jak żydzi albo muzułmanie, którzy po prostu wierzą w Boga. Zazwyczaj wtedy słyszałem, że to tajemnica, ale nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego niby wierzy w tę właśnie tajemnicę, a nie jakąś inną. Przyszedłem do was, bo słyszałem, że tu się mówi o takich sprawach, ale chyba niewiele zrozumiałem ze spotkania. Może to wina mojej słabej znajomości polskiego”.

W taki właśnie sposób ów młody dżentelmen opowiedział swoją historię. Zaczęliśmy się regularnie spotykać i czytać wspólnie, po angielsku, aby mu ułatwić sprawę, *Theology for Beginners* Sheeda. Uznałem, że jest to najlepszy „podręcznik”, który może mi pomóc w sposób możliwie zwarty opowiedzieć mu chrześcijaństwo – bez uproszczeń, ale też bez zbędnych komplikacji – a jemu chrześcijaństwo poznać. Nie pomyliłem się. Z każdym rozdziałem był naprawdę coraz bardziej zaintrygowany i zafascynowany. Stawiał ogromnie dużo pytań, w których nie było cienia agresji. O pochodzenie Ducha Świętego od Ojca i Syna (czyli słynne *Filioque*) pytał z równą prostotą, jak dziecko pyta: „A do czego jest ta mała dziurka w samolotowym okienku?”. Sheed z naprawdę zadziwiającą przenikliwością wydawał się jakby przewidywać pytania mojego

rozmówcy i na kartach *Teologii dla początkujących* odpowiadać na nie z równą prostotą, z jaką zostały postawione, a jednocześnie z głębią, która zdradza nauczyciela naprawdę rozumiejącego i wykładany przedmiot, i ucznia, którego przyszło mu kształcić. Spotykaliśmy się przez jeden semestr i czytaliśmy od początku do końca *Teologię dla początkujących*. Mój rozmówca był coraz bardziej poruszony. W następnym roku przyjął chrzest.

Gdybym miał dziś go opisać, nie powiedziałbym, że jest „dobrym człowiekiem” – choć zapewne takim jest. Nie stwierdziłbym, że jest „wiernym katolikiem” – choć na pewno takim jest. Opisałbym go jako człowieka zafascynowanego Bogiem. Byłem kiedyś na spotkaniu, które prowadził w swojej londyńskiej parafii. Uczestniczyły w nim osoby przygotowujące się do chrztu. Tłumaczył im wiarę. Nigdy przedtem ani potem nie słyszałem równie dobrej teologii i równie zaciekawionego teologią człowieka. Sheed wprowadził go dokładnie do tego samego ogrodu, do którego wprowadził kiedyś mnie – do ogrodu Bożej prawdy.

Dlaczego o tym piszę? Przede wszystkim, aby pokazać, do kogo adresowana jest książka Sheeda. Myślę, że do trzech kategorii odbiorców. Po pierwsze, do wierzących, którzy tak naprawdę nie wiedzą, w co wierzą, albo nie wiedzą, dlaczego wierzą w to właśnie, a nie w co innego. Ta mała książeczka jest lekturą obowiązkową dla wierzących nierozumiejących. Jeśli nie potrafisz jasno i klarownie (co nie musi oznaczać: wyczerpująco) odpowiedzieć na pytania: „Co to jest duch?”, „Dlaczego bycie Stworzycielem Pismo Święte raz przypisuje Ojcu, a raz Synowi?”, „Dlaczego Drugą Osobę Trójcy nazywamy Słowem?”, „Dlaczego katolicy najczęściej przyjmują komunie tylko pod jedną postacią?” i wiele innych tego typu pytań, to ta książka jest właśnie dla ciebie. Nie warto kryć swojej niewiedzy za szyldem „tajemnicy”. Sheed zresztą też o tym pisze. Tajemnica Boga nie na tym polega, że prawda zostaje zasłonięta czy schowana, ale raczej na tym, że jest niewyczerpywalna. Nie w tym rzecz, że Bożych tajemnic nie da się poznawać, lecz raczej w tym, że można je poznawać bez końca. Tajemniczość Boga nie polega na niepoznawalności, ale właśnie na poznawalności bez granic i bez miary, niewyczerpywalnej i nieskończonej. W tę oto przestrzeń tajemnicy Sheed potrafi swoich czytelników wprowadzić jak mało kto.

Po drugie, książka Sheeda jest lekturą obowiązkową dla wszystkich, którzy muszą komuś innemu, w sposób jasny i klarowny opowiedzieć swoją wiarę, objaśnić chrześcijaństwo. Jej adresatami są zatem rodzice, którzy wcześniej czy później stają przed zadaniem przekazania i wyjaśnienia chrześcijaństwa swoim dzieciom, zwykli chrześcijanie, którzy w pracy czy w grupie znajomych

chcą umieć opowiedzieć, w co wierzą i dlaczego nie jest to bezsensowne, osoby prowadzące grupy katechetyczne i duszpasterskie – jednym słowem wszyscy, którzy stają przed zadaniem wyznania i wyjaśnienia swojej wiary tym, którzy jej nie znają albo nie rozumieją.

Po trzecie wreszcie, książka Sheeda skierowana jest do niewierzących – ochrzczonych czy nieochrzczonych, jeśli tylko chcą wiedzieć, w co tak naprawdę nie wierzą albo w co wierzyć przestali. Tym bardziej, jeśli czują gdzieś w sercu, że zwykła ludzka ciekawość może być pierwszym krokiem do wiary.

Co szczególnie ważne, Sheed nie pisze jak sprzedawca idei albo samozwańczy adwokat Pana Boga. Píše zgodnie ze swoim ideałem i przekonaniem, o którym mówił wielokrotnie, że prawda sama w sobie jest wystarczająco ciekawa i atrakcyjna. Nie trzeba do niej przekonywać ani nakłaniać. Wystarczy ją prosto i uczciwie przedstawić. Trochę podobnie jak z zapoznaniem ze sobą dwojga młodych i atrakcyjnych ludzi. Nie trzeba ich na siłę swatać, aby między nimi „zaiskrzyło”. Tego typu wysiłki mogą nawet odnieść odwrotny skutek. Wystarczy ich sobie przedstawić i zostawić sam na sam ze sobą. Sprawy potoczą się swoim torem. Podobnie, zdaniem Sheena, rzecz się ma z człowiekiem i Prawdą. Nie trzeba ich ze sobą swatać ani do siebie przekonywać. Wystarczy ułatwić spotkanie, wzajemnie przedstawić i pozostawić sam na sam. Prawda jest na tyle atrakcyjna, że nie musimy jej człowiekowi zachwalać jak nawiedzeni akwizytorzy – możemy natomiast spotkać „tych dwoje” i jedno drugiemu przedstawić. Wszystko inne samo się ułoży. Ewangelizacja to nie reklama i nie swatanie. Ewangelizacja to przedstawianie.

Napisałem o książce i jej potencjalnym czytelniku. Pozostaje jeszcze do omówienia postać autora. Kim był Frank J. Sheed?

SHEED I WARD

To bardzo ciekawe, że w katolickiej Polsce, która już przed II wojną światową tak bardzo pokochała G.K. Chestertona, a po wojnie z wielkim zapałem rozczytywała się w książkach C.S. Lewisa, która wciąż kocha autorów piszących o wierze głęboko i prosto jednocześnie, Frank Sheed i Maisie Ward są wciąż właściwie nieznani. *Teologia dla początkujących* jest – o ile mi wiadomo – jedyną książką Sheeda, która została dotychczas przetłumaczona na język polski i wydana w naszym kraju. Zaczniemy jednak od początku.

Po pierwsze, nawet jeśli *Teologia dla początkujących* sygnowana jest nazwiskiem Franka Sheeda, to jak każda jego książka, kryje w sobie ją – Maisie Ward. I odwrotnie – każda jej publikacja miała gdzieś między wierszami jego –

Franka Sheeda. Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. To niezwykle małżeństwo było różne nieomal we wszystkim – poza wiarą. Frank był Australijczykiem i prawnikiem wykształconym na uniwersytecie w Sydney. Typowy człowiek „Nowego Świata” – rzutki, bezpretensjonalny, otwarty. Ona była jak piękny i mądry kwiat wyrosły na wspaniałym pniu starej angielskiej rodziny. „Arcyanielka” z wszystkimi angielskimi zaletami – i co dziwne, a niewątpliwie spowodowane działaniem łaski – bez „arcyangielskich” wad. Jeden z dziadków Maisie był pierwszym albo jednym z pierwszych konwertytów z anglikanizmu na rzymski katolicyzm, których zrodził słynny, założony w Oksfordzie przez część wykładowców i studentów Ruch Oksfordzki czy też – jak kto woli – Traktariani. Drugi dziadek Maisie też przystąpił do traktarian wraz ze swoim przyjacielem, późniejszym wielkim kardynałem Manningiem. A rodzice? Matka Maisie kochała literaturę i była autorką kilku naprawdę udanych powieści. Ojciec, przyjaciel św. kardynała Johna Henry’ego Newmana, starannie opracował jego biografię, w którą to pracę wciągnął młodą córkę. Dzięki temu Maisie poznała pół elity katolickiej Europy – to lepsze pół. Połączyła w sobie talenty ojca i matki – skłonność do badań nieomal naukowych i radość pisania tak dobrego, że wyniki swoich dociekań była w stanie podać nieomal tak atrakcyjnie jak beletrystykę. Napisze kiedyś już zupełnie samodzielnie książki o Francji, pierwotnym chrześcijaństwie i Nowym Testamencie. Kochała słowa i wierzyła w Słowo. Potrafiła się posługiwać słowami i służyć Słowu. Samego pisania było jej jednak za mało. Aby sprawy mogły potoczyć się dalej, musieli spotkać się z Frankiem i założyć wydawnictwo-institucję.

W 1926 roku Frank i Maisie zakładają w Londynie wydawnictwo Sheed and Ward. Stają się nie tylko małżeństwem w życiu, ale i nierozłącznym tandemem w głoszeniu słowa poprzez wydawniczą troskę na najwyższym poziomie nad słowami najlepszymi i najważniejszymi. Druga połowa lat dwudziestych XX wieku to przecież w literaturze katolickiej wielki czas. To wtedy i to właśnie w ich wydawnictwie publikują tacy autorzy, jak G.K. Chesterton, Hilaire Belloc, później Ronald Knox, C.C. Martindale, Christopher Dawson i wiele naprawdę wielkich angielskich nazwisk katolickiego odrodzenia na Wyspach. Ale Anglicy to nie wszystko. Ktoś musi przetłumaczyć i przedstawić wyspiarzom te cuda, które dzieją się w katolickiej literaturze i teologii na kontynencie. Robią to oczywiście Frank i Maisie, małżeństwo i firma wydawnicza Sheed and Ward. Wydają zatem i przedstawiają angielskim katolikom takie postaci, jak Léon Bloy, Jacques Maritain, François Mauriac (późniejszy noblista), Paul Claudel, Karl Adam, Romano Guardini czy Gertruda von Le Fort. Gdyby jeszcze poprze-

stali na Wyspach. Ale oni nie znają granic w głoszeniu słowa. W czasie ekonomicznej depresji, w 1933 roku otwierają filię swojego wydawnictwa w Nowym Jorku. Dewiza wydawnictwa brzmi: *None the less Catholic for being spelled with a big C*. Chodzi rzecz jasna o grę słów: *catholic* pisane małą literą oznacza tyle, co powszechny, powszechne; *Catholic* pisane wielką literą oznacza rzymskokatolickie. Gdybyśmy chcieli więc przetłumaczyć hasło wydawnictwa Sheed and Ward, trzeba by powiedzieć: *Nie mniej „powszechne” dlatego, że rzymskokatolickie*. W hasle tym rzeczywiście zawiera się program wydawnictwa. Małżeństwo chce wydawać książki dla ludzi myślących i tych, którzy pragną używać rozumu, choć być może nie są w tym jeszcze biegli i dlatego powtarzają bezmyślnie obiegowe opinie, sądy, powielają klisze. Sheed i Ward mają wielką ufność, że zdrowy rozsądek używany konsekwentnie sam stanowi bardzo dobrą drogę do Boga. Książki katolickie wydawane na najwyższym poziomie mogą finansować dzięki publikowaniu książek dla dzieci. Ale jakich książek dla dzieci! Jako pierwsi podejmują walkę z kiczem i tandetą w literaturze dziecięcej. Razi ich niski poziom treści i zła strona graficzna tego, co się przedstawia najmłodszym czytelnikom. Rozpoczynają zatem kampanię wydawniczą znaną jako *non-cute writing* – pisanie, nie słodzenie. Kształtowanie gustów estetycznych maluchów ze Stanów Zjednoczonych lat trzydziestych xx wieku naprawdę było misją wielkiej wagi. Ale to nie wszystko. Sheed and Ward zakładają i wydają specyficzny kwartalnik reklamowy – „Trąbka” („Sheed and Ward’s Own Trumpet”). To chyba pierwsze czasopismo literacko-rysunkowo-satyryczne, mające promować wydawnictwo, które samo w sobie staje się instytucją. Frank i Maisie szczerzą się tym, że czytają każdą książkę, którą wydają, a wydają tylko te, które sami cenią i lubią. Bardziej dzielą się z innymi swoimi literackimi i chrześcijańskimi fascynacjami, niż sprzedają książki klientom. Sami cały czas piszą. Sheed tłumaczy na współczesną angielszczyznę *Wyznania* św. Augustyna, pisze dużo własnych rzeczy, wiele redaguje. Największą sławę i chyba trwałe miejsce zarówno w teologii, jak i literaturze przyniesie mu jednak książka opublikowana w 1946 roku – *Theology and Sanity*. Licząca ponad czterysta stron druku *Teologia i zdrowy rozsądek* nie jest niczym innym, niż fachowym i głębokim wprowadzeniem do wiary i teologii katolickiej dla wszystkich, którzy są jej po prostu ciekawi. Sheedowi udaje się napisać książkę popularną i naprawdę głęboką, kompetentną w każdym calu i atrakcyjną od pierwszej do ostatniej strony. Czegoś takiego jeszcze dotychczas nie było. W ciągu kolejnych lat drukowane są dziesiątki wydań. Do dziś książkę tę zna chyba każdy świadomy katolik w anglojęzycznym świecie. Tyle że czterysta stron to dużo. Frank Sheed

opracowuje więc wersję skróconą – tak właśnie powstaje *Teologia dla początkujących* (*Theology for beginners*), która dzięki wydawnictwu W drodze właśnie dociera do polskiego czytelnika. Należy oczywiście dodać, że po raz pierwszy książka ta ukazała się w języku polskim w tłumaczeniu Anny Morawskiej, z przedmową ks. Andrzeja Zuberbiera, w roku 1962 nakładem Znaku. Wydanie to jest już dawno niedostępne, a i przyznać trzeba, że zawiera pewne zaskakujące i chyba błędne decyzje redakcyjne. Pominięto w nim na przykład pierwszy rozdział z oryginalnego wydania, w którym Sheed tłumaczy, po co w ogóle zwykłemu, świeckiemu katolikowi teologia. Tekst Sheeda zastąpiono przedmową ks. Zuberbiera. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że była to niezwykle nieszczęśliwa dla czytelników decyzja. Na szczęście niniejsze tłumaczenie i wydanie przygotowane przez W drodze nie zawiera tego typu przykrych okrojów i redakcyjnych niespodzianek.

Wróćmy jednak do pisarstwa Sheeda. Pierwszym, co uderza czytelnika jego tekstów, jest niebywała wręcz klarowność wykładu i przekazu treści. Kiedy się kończy lekturę *Theology and Sanity*, *Society and Sanity* (równie wielki bestseller, co *Teologia i zdrowy rozsądek*, tyle że dotyczący zagadnień społecznych) czy też *Theology for beginners*, aż trudno uwierzyć, że to, co teraz wydaje się tak oczywiste, przed przeczytaniem książki Sheeda wcale takim nie było, a być może nie było nawet znane. Czytelnik jego książek ma ochotę zakrzyknąć jak dr Watson z powieści Conan Doyle’a: „Jakież to oczywiste, drogi Holmesie!”. Tyle że jeszcze przed momentem wydawało się nierozwiązywalną zagadką i nieprzeniknioną tajemnicą. Skąd u Sheeda taka klarowność i umiejętność wykładu? Myślę, że nabył jej dzięki wieloletniej działalności jako mówca w ramach Catholic Evidence Guild. Było to katolickie stowarzyszenie ulicznych mówców, którzy literalnie korzystając wyłącznie ze skrzynki jako ambony (ang. *soap box speaker*), stawali na rogu Hyde Parku w Londynie czy Wall Street w Nowym Jorku i musieli tak mówić, aby nie tylko zwrócić uwagę przechodniów, lecz także skupić ich uwagę na dłużej, a niekiedy wywołać dyskusję. Czasami zdarzało się, że nikt się nie zatrzymał i Frank przez długi czas przemawiał na środku ulicy jedynie do Maisie, a później w tym samym miejscu Maisie do Franka. Tak ponoć zdarzyło im się kiedyś w Filadelfii, ale zasadniczo udawało się zarówno zainteresować przechodniów tym, co mówili, jak i samym słowem sprowokować zabieganych londyńczyków czy nowojorczyków do zastanowienia, pytań czy dyskusji. Musiało to być słowo mocne i proste, trafiające w sedno sprawy i serca słuchaczy. Myślę, że to te właśnie uliczne występy na skrzynce po mydle na rogu Hyde Parku czy Wall Street

stanowiły dla Franka Sheeda szkołę klarowności i zwięzłości przekazu, które to cechy są tak charakterystyczne dla jego książek.

TRZY WYZWANIA DLA WIERZĄCYCH

Na koniec niech wolno mi będzie zwrócić jeszcze uwagę na trzy powody, dla których uważam, że *Teologia dla początkujących* Franka Sheeda jest książką szczególnie ważną dziś, tutaj i dla nas – w roku Pańskim 2020, w Polsce i dla polskich katolików.

Chyba po raz pierwszy w naszej historii przestajemy żyć w kulturze chrześcijańskiej, w świecie, w którym wiara jest oczywistością, a przynajmniej powszechnym zwyczajem. Aby wierzyć, nie wystarczy już trwać w nieprzemyślanych praktykach, celebrować najpiękniejsze nawet rytuały. Aby wierzyć, trzeba zacząć rozumieć, w co się wierzy, być gotowym do obrony i uzasadnienia tej nadziei, która w nas jest (por. 1 P 3,15) – często do uzasadnienia i obrony przed nami samymi, a co dopiero wobec innych.

Po drugie, wydaje mi się, że już dosyć długo koncentrowaliśmy się w Polsce na celebracji aktów wiary (*fides qua*) przy kompletnym zaniedbaniu troski o treść wiary (*fides quae*). Gdyby na zorganizowanie jednego masowego „wielbienia” przypadało choćby jedno niewielkie spotkanie poświęcone tłumaczeniu, w co my tak naprawdę jako katolicy wierzymy – byłibyśmy najbardziej świadomymi katolikami na świecie. Ponieważ jednak tak się nie dzieje, jesteśmy niewątpliwie bardzo religijnym narodem, choć być może raczej niewierzącym – przynajmniej w chrześcijańskim sensie wiary.

Po trzecie wreszcie, mam wrażenie, że ideał *simplicitas fidei* (prostoty wiary) zbyt często myli się nam ze zwykłym nieuctwem i prostactwem. Skutkiem tej pomyłki jest fakt, że nasz polski Kościół był i jest wyjątkowo gościnny dla wszelkich możliwych hochsztaplerów i oszustów – od uzdrowicieli z dawnych czasów, jak entuzjastycznie przyjmowany w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku w katolickich kościołach i salkach katechetycznych dr Clive Harris, po obecnych „proroków” robiących karierę na wmawianiu nieświadomym swojej wiary katolikom „grzechów furtkowych” i „win pokoleniowych”. Jesteśmy jako polscy katolicy łatwowierni i „świerzbii nas uszy”, czego powodem jest niedokształcenie w wierze i lenistwo w poznaniu. Jedno i drugie jest grzechem, nawet jeśli uśpiemy nasze sumienia, nazywając prostactwo i lenistwo prostotą i ufnością.

Jeśli cenimy naszą wiarę, musimy zacząć nad nią odpowiedzialnie pracować. Naprawdę warto i już teraz powinniśmy sięgnąć po teologię i poszukać takich

przewodników jak Sheed. Trzeba jednak pamiętać, że w teologii nie chodzi o samo poznanie. Poznajemy rozumem, aby kochać całym sobą, bo nie potrafimy kochać tych, których nie znamy. Tacy już jako ludzie jesteśmy, że poznanie musi poprzedzać miłość. Im bardziej znamy, tym bardziej kochamy, a przynajmniej możemy kochać. Nawet jeśli poznanie nie jest warunkiem wystarczającym do kochania Boga i człowieka, to na pewno jest warunkiem koniecznym. Po to właśnie potrzebna nam jest teologia.

JANUSZ PYDA OP

Po co studiować teologię?

Kilka lat temu byłem w pewnym mieście, gdzie miałem wygłosić prelekcję. Młoda kobieta oznajmiła mi, że się na nią wybiera, i zapytała, o czym będzie. „O Trójcy Świętej” – odpowiedziałem. „Och – westchnęła, a po znaczącej pauzie dodała: – No cóż...” Innymi słowy, gdyby biskup kazał jej wysłuchać wykładu o Trójcy Świętej, to by go wysłuchała. Wykonałaby też i trudniejsze zadania, gdyby do nich wzywał biskup. Lecz niewątpliwie nie oczekiwała żadnej radości. I w tej sprawie reprezentowała wielu spośród milionów katolików. Jako wspólnota mamy nadzieję pójść do nieba, co oznacza wieczne trwanie z Trójcą Świętą, i spodziewamy się, że będzie to niezwykle błogie doświadczenie. Ale gdy mamy spędzić godzinę z Trójcą Świętą tu, na ziemi, nie przewidujemy żadnej radości.

To wydarzenie cofnęło mnie o trzydzieści lat. Byłem wtedy chłopcem i powiedziałem pewnemu teologowi, że to smutne, iż świeccy nie mogą studiować teologii. „Ale po co miałbyś studiować teologię?” – odparł. „Nie musisz”. Moje świeże zainteresowanie dogmatem nie podsunęło mi żadnej przejrzystej odpowiedzi na to pytanie. Wymamrotałem pod nosem coś w rodzaju, że prawda by mnie wyzwoliła, a ja chcę być wolny. Postaram się zatem teraz odpowiedzieć na to pytanie sprzed trzech dekad.

W pewien sposób nadal, tak jak kiedyś, czuję się dziwnie, gdy muszę przedstawiać argumenty na rzecz czegoś tak zachwycającego i radosnego. Radość i zachwyt w odniesieniu do wiedzy teologicznej są jednak podobne do radości i zachwytu każdej miłości – nie można jej wyjaśnić komuś, kto jej nie doświadczył, a nie potrzeba wyjaśniać temu, kto ją przeżywa. Ograniczę się więc do najprostszych racji. Prawda jest pokarmem i prawda jest światłem.

„Nie samym chlebem żyje człowiek...” (Mt 4,4)¹ – powiedział Chrystus do diabła, cytując Księgę Powtórzonego Prawa. Wszyscy znamy to zdanie i każdy człowiek stara się je uzupełnić zgodnie z własną fantazją tym, co uważa za najważniejsze dla głodnej duszy ludzkiej. To zdanie jednak ma swoje własne uzu-

¹ Jeśli nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, wyd. piąte, Pallottinum, Poznań 2002 – przyp. tłum.

pełnienie w Księdze Powtórzonego Prawa i nasz Pan je także przypomina diabłu: „...ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych”. Zatem prawda objawiona jest pokarmem. A jego cechą charakterystyczną jest to, że karmi tylko tych, którzy go spożywają. Nie nakarmimy się pożywieniem, które zjadł ktoś inny. Aby zostać nakarmionym, trzeba zjeść je samemu.

Prawda jest także światłem. Jeśli jej nie widzimy, błądzimy w ciemnościach. Kiedy postrzegamy ją błędnie, jesteśmy w podwójnych ciemnościach. Większą część rzeczywistości możemy poznać tylko wtedy, gdy Bóg nam o niej powie; to, co On mówi, jest doktryną; jeśli jej nie znamy, brakuje nam światła. Poruszanie się po omacku, z ufnością, że przynajmniej przewodnik dobrze widzi, nie jest tym samym, co chodzenie w świetle. Jest to i tak o wiele lepsze niż brnięcie w ciemnościach ze ślepym przewodnikiem, ale mimo wszystko to wielkie ubóstwo.

Ktoś powie, że żaden katolik nie chodzi całkiem głodny, ponieważ ma Eucharystię, ani nie brnie w całkowitych ciemnościach, skoro Kościołowi udaje się dotrzeć z prawdami wiary nawet do tych najmniej zainteresowanych swoich dzieci. Jest to absolutnie prawdziwe, gdy chodzi o Eucharystię, lecz głębsze zrozumienie tej doktryny pomogłoby katolikowi lepiej poznać, dzięki jakiemu pokarmowi żyje jego dusza. Co się zaś tyczy prawd wiary, nie jestem już taki pewny. Jakieś dziwne cienie tłumią jasność umysłu. Kiedyś zapytano pewnego wykształconego katolika, jak to możliwe, że Bóg jest w trzech Osobach. Odpowiedział: „Bóg jest wszechmocny i może być w tylu osobach, w ilu chce”. Inny z kolei chciał iść do komunii, nie dochowawszy postu eucharystycznego, i uznał, że wszystko będzie w porządku, jeśli przedtem pójdzie do spowiedzi. Nie prowadzę zapisków, więc nie potrafię powiedzieć, ile razy słyszałem następujące zdanie: „Biedny Duch Święty, jest tak lekceważony”. No tak, nie zwracamy na Niego zbytnej uwagi i musi zadowolić się towarzystwem Ojca i Syna!

Zostawmy to. Katolik, dzięki Bogu, nigdy nie może być całkiem głodny ani zupełnie pogrążony w ciemnościach. Ale może prowadzić życie niedożywione i w półmroku, i jest to wielka szkoda.

Nie potrafię powiedzieć, jak często mi powtarzano, że każdy stary Irlandczyk odmawiający różaniec jest bardziej święty ode mnie, mimo całej mojej wiedzy. Z pewnością tak jest. Ale jeśli jedynym dowodem jego świętości ma być fakt, że on zna się na teologii mniej ode mnie, żaden to dowód i nie przekona ani mnie, ani jego. Nie przekonałby jego, bo wszyscy starzy irlandzcy miłośnicy różańca i tabernakulum, których znałem (a wśród moich przodków było ich pełno), byli żądni wiedzy na temat swojej wiary. I nie przekonuje mnie, bo cho-

cięż ignorant może oczywiście być cnotliwy, ignorancja cnotą nie jest. Męczennikami zostawali ludzie, którzy nie potrafili poprawnie wyartykułować doktryny Kościoła, a męczeństwo to przecież najwyższy dowód miłości. Jednak mając większą wiedzę o Bogu, kochaliby Go jeszcze bardziej.

Wiedza służy miłości – oczywiście może skwaśnieć i służyć pysze albo próżności, dlatego my, biedni synowie Ewy, musimy się mieć przed tym na baczności.

Wiedza naprawdę służy miłości. Po pierwsze dlatego, że usuwa nieporozumienia, które stoją na drodze miłości lub w najlepszym razie rozmywają trochę jej kontury. Na przykład istnienie piekła może budzić powątpiewanie co do Bożej miłości w człowieku, który nie wzbogacił swego umysłu o to, czego może nauczyć go Kościół. Zatem kierowany pobożnością odwraca wzrok od jakiejś prawdy o Bogu, aby nic nie przyćmiewało jego miłości do Niego. Ale wiedza służy miłości w jeszcze lepszy sposób – każda nowa rzecz, którą poznajemy o Bogu i nad którą medytujemy, jest kolejnym powodem, aby Go kochać.

Być może katolik czuje, że wszystko jest dość przekonujące, lecz jednak nie są to prawdy dla niego: Kościół nie nakazuje mu wchodzić głębiej w teologię. Jeśli jego dusza nie otrzymuje całego pokarmu, który mogłaby dostać, on nie odczuwa skurczy głodowych; półmrok wydaje się dla niego wystarczającym światłem, bo wie, że kocha Boga; a w każdym razie wie, że to jest w jego interesie.

Jeśli katolik jest zadowolony z tego, co dostaje, nie ma o czym mówić. To jest jego sprawa, a przynajmniej nie moja. Ale życie to nie tylko przyjmowanie, musi być też dawaniem i katolik nie może się tak łatwo zadowolić, a właściwie w ogóle nie powinien się zadowolić tym, co dostaje. Najbardziej oczywistym faktem naszych czasów jest to, że jesteśmy otoczeni milionami ludzi głodujących z braku pokarmu, który Chrystus, nasz Pan, chciał im dać – dostają zbyt małe racje prawd wiary i żadnych racji Eucharystii. Oczywiście ubolewamy nad ich głodem, ale nie spędza nam to snu z powiek. Powstaje więc pytanie, czy my naprawdę doceniamy pokarm, który sami dostajemy od Kościoła. Nie byłibyśmy tak spokojni, gdyby ich głód był cielesny: znamy bowiem wartość pokarmu, który niszczyje².

Jeśli ten głód duchowy ma być zaspokojony, to powinniśmy zaradzić temu my, osoby świeckie, gdyż jesteśmy w bezpośrednim kontakcie z jego ofiarami. Musimy zrozumieć najważniejsze dogmaty, abyśmy dobrze je przyswoili i znali ich odżywczą moc. Musimy podjąć wszelkie wysiłki, by nauczyć się o nich mówić.

² Nawiązanie do J 6,27 i rozmnożenia chleba: „Zabiegajcie nie o ten pokarm, który niszczyje...” – przyp. tłum.

Tylko w ten sposób możemy nakarmić głodnych, którzy obecnie otaczają nas ze wszystkich stron. Kiedy to dostrzeżemy, zrozumiemy również, że mamy obowiązek coś z tym zrobić – przede wszystkim i głównie przez wzgląd na naszych bliźnich. Nie możemy dopuścić, aby ludzie ginęli z pragnienia prawdy, którą możemy im dać. To także nasz interes. Cóż nam z tego, że będziemy zdrową mniejszością w społeczeństwie, które traci kontakt z Bogiem.

Książka ta będzie traktowała o teologii pod kątem zaspokojenia dwóch potrzeb – potrzeby naszych własnych dusz, które łakną pokarmu, światła i miłości Boga, dostarczanych przez wielkie dogmaty, oraz potrzeby otaczających nas ludzi, którą tylko my możemy zaspokoić.

Lekturze tej książki, i tak naprawdę wszystkich książek teologicznych, powinno towarzyszyć czytanie Pisma Świętego. Można zdobyć dostateczną wiedzę na temat prawd objawienia, lecz Pismo Święte ma cudowną moc, która sprawia, że te prawdy zaczynają żyć w duszy człowieka. Możliwe jest, że człowiek posiada prawdę, choć prawda ta jeszcze nie posiada jego! Należy oczywiście przeczytać ewangelie, po nich Dzieje Apostolskie i niektóre listy św. Pawła – zwłaszcza Pierwszy List do Koryntian, List do Galatów, Efezjan, Filipian i Kolosan. Nie trzeba się spieszyć, ale prędzej czy później należy przeczytać całe Pismo Święte.

Duch

DUCH POZNAJE, KOCHA I MA MOC

Kiedy zaczynałem pracę jako mówca uliczny w Catholic Evidence Guild¹, pewien słuchacz zapytał mnie, co rozumiem przez słowo „duch”. „Duch nie ma kształtu – odparłem – nie ma wymiaru, nie ma barwy ani ciężaru, nie zajmuje miejsca w przestrzeni”. „To najlepsza definicja niczego, jaką słyszałem” – odpowiedział. Jego uwaga była słuszna. Podałem mu listę rzeczy, którymi duch nie jest, nie wspominając ani słowem o tym, czym jest.

W teologii „duch” jest nie tylko słowem kluczowym, lecz także słowem kluczem. Chrystus powiedział do Samarytanki: „Bóg jest duchem”. Jeśli nie znamy znaczenia słowa „duch”, nie będziemy wiedzieć, co miał na myśli. To tak, jakby On powiedział: „Bóg jest...”. Co w ogóle nic nam nie mówi. To samo odnosi się do każdej doktryny; one wszystkie uwzględniają ducha. W teologii przez cały czas studiujemy ducha. I umysł, którym je studiujemy, sam też jest duchem.

Powinniśmy więc wiedzieć, czym on jest. I nie chodzi mi tutaj tylko o definicję. Musimy opanować to pojęcie, przyswoić je sobie, nauczyć się nim sprawnie i z łatwością operować. Dlatego właśnie zatrzymam się nad nim dłużej. Powolny i uważny namysł nad nim zaowocuje później. Ta książka nie ma być szybkim galopem przez pole objawienia. Ma być wysiłkiem w celu poznania początków teologii.

Zaczynamy od swojego własnego ducha, tego, którego znamy najlepiej. Duch jest elementem nas, za jego pomocą poznajemy i kochamy, a więc podejmujemy decyzje. Nasze ciało nic nie wie i niczego nie kocha (ciało nie czerpie rozkoszy z przyjemności cielesnych, lecz reaguje na nie fizycznie, na przykład rosnącym tętnem lub zwiększonym wydzielaniem kwasu w żołądku; to poznający umysł odczuwa przyjemność lub dyskomfort z powodu jakiejś jego reakcji). Ciało o niczym nie decyduje (choć nasza wola może podejmować decyzje na rzecz tego, co daje nam przyjemność cielesną).

¹ Katolicka Gildia Świadcstwa zajmująca się apostołatem w miejscach publicznych – przyp. tłum.

Duch poznaje i kocha. Jeśli uważniej przyjrzymy się sobie, to stwierdzimy, że duch ma także moc. To umysł człowieka rozszczepia atom: atom nie może rozszczepić umysłu; nie może nawet rozszczepić samego siebie; nic nie wie o swoich elektronach.

DUCH TWORZY TO, CZEGO MATERIA ZROBIĆ NIE MOŻE

Jak powiedzieliśmy, umysł rozszczepia atom i oblicza lata świetlne. Prawdą jest, że do obu tych operacji wykorzystuje ciało. Ale zauważmy, że nie ma wątpliwości, co tu jest podmiotem, a co przedmiotem. To umysł używa ciała, nie prosząc go o zgodę. To umysł jest szefem, a ciało narzędziem. Czy to narzędzie jest istotne? Czy umysł musi go użyć, aby poradzić sobie z materią? W naszym doświadczeniu mamy bezpośrednie dowody na to, że umysł działa na materię. Na przykład chcemy unieść rękę i robimy to. Uniesienie ręki jest bardzo skomplikowaną czynnością anatomiczną, ale zostaje ona wprawiona w ruch decyzją naszej woli. I jak zobaczymy, tę bezpośrednią moc, jaką ma ludzki umysł nad własnym ciałem, potężniejsze duchy mają nad całą materią.

Takie splećanie ducha i materii w działaniach człowieka wyrasta z faktu odróżniania ducha ludzkiego od wszystkich innych. Tylko nasz duch jest także duszą – to znaczy zasadą życia w ciele. Bóg jest duchem, ale nie ma ciała; aniołowie są duchami, ale nie mają ciała. Tylko w człowieku duch jest zjednoczony z ciałem, porusza ciałem, sprawia, że ciało żyje. Każde żyjące ciało – rośliny, zwierzęta, ludzie – ma w sobie element ożywiający, duszę². I tak jak tylko nasz duch jest jednocześnie duszą, tak tylko nasza dusza jest jednocześnie duchem. Później omówimy zjednoczenie ducha i materii w człowieku, aby zrozumieć, co to mówi o nas samych. Na razie jednak przedmiotem naszego zainteresowania jest duch.

Jak widzieliśmy, duch czyni w nas różne rzeczy: poznaje i kocha, i ożywia ciało. Czym wobec tego jest ten duch? Możemy to zrozumieć, zaglądając do naszej własnej duszy, badając w szczególności jedną jej czynność: tworzenie pojęć. Pamiętam rozmowę, jaką prowadził pewien mówca z Catholic Evidence Guild z człowiekiem o poglądach materialistycznych, który twierdził, że jego

² Autor idzie tu za św. Tomaszem z Akwinu, przyjmując, że zasadą życia każdego bytu ożywionego jest „dusza” – wegetatywna w przypadku roślin, zmysłowa u zwierząt i rozumna u człowieka. Tylko ta ostatnia jest nieśmiertelna i w sensie ścisłym duchowa; zob. św. Tomasz z Akwinu, *Kwestia o duszy*, przeł. Z. Włodek, W. Zega, Znak, Kraków 1996 – przyp. red. nauk.

pojęcie sprawiedliwości jest wynikiem czysto cielesnej aktywności materialnego mózgu człowieka.

MÓWCA: Ile to pojęcie ma cali?

PYTAJĄCY: Niech pan nie mówi głupstw. Pojęcia nie mają długości.

MÓWCA: Zgoda. Ile ono waży?

PYTAJĄCY: O co panu chodzi? Czy próbuje pan zrobić ze mnie głupca?

MÓWCA: Nie. Chwytam pana za słowo. Jakiego jest koloru? Jaki ma kształt?

W tym momencie dyskusja się zakończyła, gdyż materialista stwierdził, że katolik wygaduje nonsensy. Oczywiście jest nonsensem mówienie o tym, że myśl ma długość albo ciężar, barwę lub kształt. Materialista jednak twierdził, że myśl jest czymś materialnym, a mówca po prostu pytał o jej materialne cechy. Tak naprawdę myśl nie ma takich cech i materialista doskonale o tym wiedział. Tylko że nie wyciągnął z tego oczywistego wniosku. Jeśli ciągle tworzymy rzeczy, które nie mają cech materialnych, to musi być w nas jakiś niematerialny element, który je tworzy. Element ten nazywamy duchem.

Co dziwne, materialista uważał nas za ludzi przesądnych, którzy wierzą w jakąś fantazję zwaną duchem, a siebie za prostego realistę, który twierdzi, że pojęcia tworzy materialny organ zwany mózgiem. Tak naprawdę uważał on, że materia płodzi potomstwo, które nie ma z nią żadnej cechy wspólnej. Czy może być coś bardziej irracjonalnego od takiej tezy? To my jesteśmy prostymi realistami i powinniśmy się tego trzymać.

Co rusz jakiś materialista będzie dowodził, że kiedy myślimy, w mózgu zachodzą zmiany, tworzą się bruzdy, następują elektryczne wyładowania czy jeszcze co innego. One jednak tylko towarzyszą myśli, same nie są myślą. Kiedy myślimy o sprawiedliwości, nie myślimy o bruzdach w mózgu, większość z nas w ogóle nie uświadamia sobie ich istnienia. Sprawiedliwość ma jakieś znaczenie i nie oznacza bruzd. Kiedy mówię, że miłosierdzie jest czymś lepszym od sprawiedliwości, nie porównuję bruzd miłosierdzia z prostszymi bruzdami sprawiedliwości.

Nasze pojęcia nie są niczym materialnym. Nie są podobne do naszego ciała. Są podobne do naszego ducha. Nie mają kształtu, wymiaru, koloru, ciężaru ani nie zajmują miejsca w przestrzeni. Podobnie jak duch, którego są potomstwem. Nie można go jednak nazwać niczym, ponieważ to on tworzy myśl, a myśl jest najpotężniejszą rzeczą na świecie – jeśli nie miłość, którą również tworzy duch.

DUCH NIE ZAJMUJE MIEJSCA W PRZESTRZENI

Przechodzimy teraz do najtrudniejszej części naszych badań nad duchem. Będzie to wymagało wiele trudu i potu od was i ode mnie, ale potem wszystko stanie się prostsze.

Zaczynamy od twierdzenia, które wydaje się negatywne, ale takie nie jest. Duch różni się od rzeczy materialnej tym, że nie ma części. Kiedy zrozumiemy, jakie to ma znaczenie, będziemy blisko naszego celu.

Część jest takim elementem bytu, który nie jest jego całością, podobnie jak klatka piersiowa jest częścią mojego ciała czy elektron jest częścią atomu. Duch nie ma części. Nie ma w nim elementu, który by nie był jego całością. Nie ma w nim podziału na części, jak to się dzieje w przypadku materii. Nasze ciało składa się z części, z których każda spełnia własne funkcje: ciało używa płuc do oddychania, oczu do patrzenia, nóg do chodzenia. Nasza dusza nie ma części, ponieważ jest duchem. W duszy nie ma takiego elementu, który by nie był całą duszą. Dusza spełnia wiele różnych funkcji – poznaje, kocha, ożywia ciało – ale każdą z tych funkcji spełnia cała dusza; nie ma w niej części, pomiędzy które mogłaby podzielić te zadania.

Ta niepodzielność ducha stanowi prawdziwą trudność dla początkujących. Skupcie się teraz – byt, który nie ma części, nie zajmuje miejsca w przestrzeni. Trudno wyrazić się jaśniej: po prostu idźcie dalej, przyglądając się temu stwierdzeniu, aż w pewnym momencie nagle je zrozumiecie. Najlepsze, co może zrobić nauczyciel, to zaoferować wam kilka wskazówek. Pomyślcie o czymś, co lubicie, a co zajmuje przestrzeń, a przekonacie się, że ta rzecz ma części, że są w niej części, które nie są całością – jeden koniec nie jest drugim końcem, wierzch nie jest dnem, wewnątrz nie jest zewnątrz. Jeśli coś zajmuje jakąś przestrzeń, choćby było to coś bardzo mikroskopijnego czy wręcz nieskończenie mikroskopijnego, to musi mieć jakąś „rozpiętość”. Po prostu przestrzeń jest miejscem, w której materia rozpościera swoje części. Byt, który w ogóle nie ma części, nie rozpościera się w przestrzeni; przestrzeń i duch nie mają ze sobą nic wspólnego; duch nie jest przestrzenny; jest nadrzędny wobec potrzeby przestrzeni.

Kłopot polega na tym, że trudno nam myśleć o czymś, co istnieje, lecz nie jest to istnienie w przestrzeni; i trudno nam myśleć o czymś, co działa, ale nie ma części. W przypadku pierwszej trudności, musimy sobie przypomnieć, że przestrzeń jest tylko pustką, a pustka nie jest istotna dla istnienia. W przypadku drugiej trudności musimy pamiętać, że części są jedynie podziałami, a podzielność nie jest konieczna dla działania.

W odniesieniu do obu trudności może nam trochę pomóc przywołanie jednego z najpowszechniejszych naszych działań, osądzania, które przez cały czas wykonujemy. Jeśli w naszym umyśle dokonaliśmy osądu, że miłosierdzie jest bardziej pożyteczne od sprawiedliwości, nie uświadamiamy sobie, jakiej zdumiewającej rzeczy dokonaliśmy. Wybraliśmy trzy myśli albo pojęcia, miłosierdzie, sprawiedliwość i pożyteczność. Znaleźliśmy pewien rodzaj tożsamości między miłosierdziem a pożytecznością: miłosierdzie jest pożyteczne. Oznacza to, że musieliśmy zestawić razem miłosierdzie i pożyteczność w naszym umyśle. Nie może więc być „odległości” między tymi dwoma pojęciami; gdyby tak było, nie można by ich zebrać razem w celu porównania i wydania osądu. Gdyby umysł rozpościerał się w przestrzeni, tak jak rozpościera się mózg, i pojęcie miłosierdzia znajdowało się w jednej jego części, a pojęcie pożyteczności w innej, nie mogłyby być porównane. Podobnie muszą być zestawione pojęcia sprawiedliwości i pożyteczności i ustalona między nimi jakaś tożsamość, aby można było wydać osąd, że sprawiedliwość jest pożyteczna. To nie wszystko. Zebrane muszą być wszystkie trzy pojęcia razem, aby można było stwierdzić większą pożyteczność miłosierdzia. Moc wydawania osądów leży u źródła mocy człowieka, dzięki której może żyć i panować nad sobą i środowiskiem. A moc dokonywania osądów jest zależna od niepodzielności duszy: jednego niepodzielnego myślącego elementu, umożliwiającego wyodrębnienie i zebranie razem wszystkich pojęć, które chcemy porównać.

Pozostaje jeszcze jedna prawda o duchu, którą musimy rozpatrzeć. Duch jest czymś stałym i nieprzemijającym.

DUCH JEST ZAWSZE SOBĄ

Jak się przekonaliśmy, uważne przyjrzenie się zagadnieniu pozwoliło nam stwierdzić, że byt, który nie ma części, żadnego elementu, który by nie był jego całością, nie może zajmować miejsca w przestrzeni. Patrzymy dalej, a zobaczymy, że nie może on się zmienić w coś innego ani nie może go zniszczyć żaden naturalny proces. Dotarliśmy w końcu do najgłębszej prawdy dotyczącej ducha – duch jest bytem, który w sposób trwały jest tym, czym jest, tak że nigdy nie stanie się czymś innym.

Byty materialne mogą ulec zniszczeniu, w tym sensie, że mogą się rozpaść na części składowe; coś, co ma części, może być rozbite. Jednak byt niepodzielny jest ponad tym. Nie można z niego niczego wziąć, ponieważ w nim nie ma niczego oprócz całości. Możemy oczywiście wyobrazić sobie

wyjęcie całości tego bytu z istnienia. Byłoby to unicestwienie. Ale tak jak tylko Bóg może stwarzać z niczego, swoją wolą powołując byt do istnienia, tak tylko Bóg może strącić byt do niebytu, nakazując swoją wolą, by przestał istnieć. Gdy chodzi o duszę ludzką, Bóg nam oznajmił, że nie chce w ten sposób wyjmować jej z istnienia.

Byt duchowy zatem nie może utracić swojej tożsamości. Może doświadczać zmian w swoich relacjach z innymi bytami – to znaczy może zyskiwać nową wiedzę albo tracić tę wiedzę, którą ma; może przenosić swoją miłość z jednego przedmiotu na inny; może zwiększać władzę nad materią; jego ciało może przestać reagować na jego ożywiającą moc, czego następstwem jest śmierć ciała – ale pomimo tych wszystkich zmian on pozostaje sobą, bytem świadomym siebie i nieprzemijającym.

Uczeń, dla którego to wszystko jest nowe, zapewne ciągle się nad tym zastanawia i powraca do tego w dziwnych momentach – w drodze do pracy, w chwilach bezsenności. Musi nieustannie przyglądać się relacji między posiadaniem części a zajmowaniem miejsca w przestrzeni, dopóki nie zrozumie, w całej pełni, że byt niepodzielny nie może istnieć w przestrzeni. Powinien przyglądać się relacji między posiadaniem części i zakończeniem istnienia, aż dokładnie zrozumie, że byt niepodzielny nie może nigdy być niczym innym, jak tylko sobą.

Powinniśmy starać się zebrać, zobaczyć razem wszystkie te osobne prawdy dotyczące ducha. Jednym ze sposobów jest skupienie się na własnej duszy, na tym duchu, którego najlepiej znamy – który w całości jest sobą, zawsze sobą, robiąc wszystko to, co robi, całym sobą. Dusza ludzka jednak jest najniższym z duchów. Najmniejszy z aniołów niewyobrażalnie przewyższa ją swą mocą (te aniołki, słodkie i miłutkie, które zapełniają książki naszych dzieci, nie mają nic wspólnego z aniołami).

Filozofowie mówią, że anioły, mając tak wielką władzę, mogłyby zniszczyć nasz materialny wszechświat, jeśli nie powstrzymałaby ich potężniejsza moc Boża – podobnie jak ta potężniejsza moc będzie powstrzymywać człowieka przed zniszczeniem świata, dopóki Bóg nie będzie chciał, żeby nastąpił jego koniec.

Nie wystarczy poznać, czym jest duch. Musimy wbudować tę wiedzę w strukturę naszego umysłu. Zwyczajem umysłu musi się stać przyglądanie się rzeczywistości duchowej. Kiedy tak się stanie, osiągniemy pierwszy etap dojrzałości. Materializm bez względu na to, jak przekonująco będzie się go uzasadniać, nie może nad nami panować. Być może nie zawsze znajdziemy dobre argumenty,

nieważne. Materializm jest odpychający; przeciwstawiają się mu wszystkie nasze umysłowe zwyczaje. To tak, jakby naukowiec miał podać argumenty na korzyść chodzenia na czworakach. Właściwie to całkiem niezłe porównanie. Człowiek, który wie o istnieniu świata duchowego, chodzi wyprostowany, a materialista przywiera do ziemi.

Ludzie świeccy w Kościele¹

1.

Dzięki bierzmowaniu człowiek świecki staje się żołnierzem Kościoła. Kościół tu, na ziemi, jest Kościołem walczącym, dlatego musimy stanowić armię. Jego oficerami są duchowni, a my zwykłymi żołnierzami, szeregowcami. Musimy zatem rozważyć naszą rolę w tej walce.

Na początek powinniśmy zrozumieć, o co się toczy ta walka. Nie chodzi tylko o powiększenie Kościoła, ale o doprowadzenie dusz do zjednoczenia z Chrystusem. To najdziwniejsza z wojen, gdyż toczy się dla nieprzyjaciela, a nie przeciwko niemu. Nawet słowa „nieprzyjaciół” powinniśmy używać poważnie, by nie wprowadzić nikogo w błąd.

Każdy niewierzący i każdy katolik jest istotą obdarzoną nieśmiertelną duszą, stworzoną na obraz Boga, za którą Chrystus oddał swe życie. Bez względu na to, jak wrogo człowiek byłby nastawiony wobec Kościoła i Chrystusa, naszym celem jest go nawrócić, nie go pokonać, a tym bardziej zniszczyć. Nie wolno nam zapominać, że diabeł chce wtrącić jego duszę, podobnie jak naszą, do piekła, i to z diabłem musimy o niego walczyć. Być może przyjdzie nam sprzeciwić się temu człowiekowi, by nie dopuścić do niego zagrażających mu sił. Naszym celem jednak musi być zdobycie go dla zbawienia jego duszy. Musimy walczyć mocą Ducha Świętego, a przecież jest On miłością Ojca i Syna. Gdybyśmy zatem walczyli z nienawiścią w sercu, walczylibyśmy przeciwko Duchowi.

Walkę toczymy, stosując różnego rodzaju broń, lecz tą podstawową jest prawda. Prawda umożliwia bowiem widzenie rzeczywistości taką, jaka ona jest. Ludzie, którzy nie znają Boga, nie wiedzą, czym jest dusza ludzka, co jest celem życia i co następuje po śmierci, nie żyją w rzeczywistym świecie. Taka jest sytuacja całych rzesz ludzi. Trzeba im pokazać prawdę o Bogu, porządek duchowy, świat, który ma nadejść, gdyż ludzie nie mogą żyć w rzeczywistości, której nie widzą – nie wolno nam też ich winić za to, że nie żyją zgodnie z rzeczywistością, której im nie pokazaliśmy. Przede wszystkim muszą zacząć widzieć i poznawać

¹ Z mowy wygłoszonej przez autora na Drugim Światowym Kongresie Apostolstwa Świeckich, Rzym, październik 1957.

Chrystusa, naszego Pana, w którym zawarta jest cała prawda i przez którego została ona ludziom obwieszczona.

Kto ma pokazać im tę prawdę?

Musimy zatrzymać się tu na prostym fakcie. Żyjemy w hałaśliwym świecie, nigdy jeszcze nie był tak zgiełkliwy. Przez cały czas gra radio i telewizor, mamy kina, wydarzenia sportowe, masowe nakłady czasopism i zalew codziennych gazet. Po drogach pędzą samochody, a nad naszymi głowami ryczą samoloty. Jak można przekazywać prawdę w takim zgiełku, jak ją usłyszeć? Mamy wielkiego papieża, który tę prawdę dobitnie głosi, lecz większość ludzi nie słyszała jego słów, po prostu nie może go dosłyszeć. Podobnie jest z naszymi biskupami, kaznodziejami i pisarzami – ich głos dociera tylko do mniejszości, a dla całej reszty ginie w zawierusze życia.

Słyszalny może być tylko jeden głos, głos przemawiającego do przyjaciół – do sąsiada, współpracownika, towarzysza zabaw czy podróży. Ten głos, i tylko ten, może przyciągnąć uwagę. Dlatego to od tego głosu zależy zwycięstwo w naszej wojnie, w tym miejscu i w tym czasie. Duchowieństwo musi uczyć laikat, a jeśli my nie będziemy od nich czerpać nauk, to tylko nasza strata. A laikat musi przekazywać Dobrą Nowinę niewierzącym. Ważną rolę odgrywają zgromadzenia i musi ich być więcej, ale codzienna walka o zdobywanie dusz niewierzących możliwa jest jedynie wtedy, gdy każdy katolik będzie odpowiednio przygotowany do głoszenia prawdy podczas osobistych spotkań.

Człowiek świecki zatem powinien być wyposażony przede wszystkim w prawdy o Bogu, duszy, życiu przyszłym i Chrystusie. Nie musi być koniecznie wyszkolony w argumentowaniu, zdolny na przykład udowodnić istnienie Boga czy duchowość duszy. Istotne, aby wiedział, co oznaczają same prawdy wiary i co z nich wynika; i nie tylko wiedział, lecz także umiał to wyrazić.

Jeśli nie wypowiadamy prawdy, ona leży w nas niema i nikomu nie pomaga, z wyjątkiem nas samych. Najpierw musimy poznać doktryny, a potem nauczyć się przekazywać je innym. Istnieje bowiem wielka różnica między widzeniem duchowej rzeczywistości a mówieniem o niej. Przede wszystkim musimy poznać umysł tych, do których mamy mówić – co zawiera, a czego mu brakuje, jak pracuje, jakie zna słownictwo.

Sposób wypowiadania się nie jest najważniejszym problemem: zbyt wielu ludzi świeckich zna prawdy wiary za słabo, żeby o nich mówić, nawet nieumiejętnie. Znają wspaniałe formuły katechizmu, w których te prawdy wiary są ujęte, lub spotkali się z nimi na lekcjach religii. Nie rozumieją jednak, co tak naprawdę one oznaczają, więc prawdopodobnie nie będą potrafili przedstawić

ich tak, by ktoś się nimi zachwycił, a tym bardziej pojął, jaka zmiana nastąpi w jego życiu, gdy je przyjmie.

Zastanówmy się na przykład, jak przeciętny katolik, niezbyt wykształcony, pojmuje doktrynę o Trójcy Przenajświętszej. Wie, że są trzy Osoby w jednym Bogu, i zna ich nazwy: Ojciec, Syn i Duch Święty. Poza tym wie niewiele więcej, a już na pewno tylko to potrafi ująć w słowa. Jeśli próbowałby coś dodać od siebie, przyprawiłby teologów o ból głowy. Często się słyszy, jak ktoś mówi: „Biedny Duch Święty, tak bardzo Go zaniedbujemy!”. Innymi słowy, uważa się nad Duchem Świętym, gdyż ludzie nie poświęcają Mu dość uwagi, tak więc musi zadowalać się towarzystwem tylko Ojca i Syna.

Powiecie, że takie nonsensy można usłyszeć z ust bardzo niedouczzonego katolika. Jednak ten niedouczony katolik często ma dobre wykształcenie świeckie. Ktoś spotkał kiedyś pewnego profesora uniwersyteckiego... Ten bardzo ważny katolicki świecki, gdy go zapytano, jak to możliwe, że Bóg jest w trzech Osobach, odparł: „Bóg jest wszechmocny i może być w tylu osobach, w ilu chce”. Jako członek Katolickiej Gildii, która prowadzi w Hyde Parku i całej Anglii spotkania uliczne, egzaminuję ludzi świeckich, którzy chcą do nas wstąpić, aby nauczać innych. Zapisalem pewną rozmowę, którą słyszałem wielokrotnie.

Egzaminator pyta uczestnika szkolenia, czy Bóg umarł na krzyżu. Ten od razu poprawnie odpowiada: „Tak”. „Co działo się z wszechświatem, gdy Bóg nie żył?” – pada kolejne pytanie. W niemal wszystkich przypadkach odpowiadano, że to nie Bóg umarł na krzyżu, ale ludzka natura Chrystusa. To jest forma herezji nestoriańskiej. Została potępiona tysiąc pięćset lat temu na soborze w Efezie, ale nawet wykształceni katolicy uciekają się do niej pod presją. Powiedziałem, że taką odpowiedź podają niemal wszyscy. Od czasu do czasu słyszymy też inną: „Tylko Druga Osoba zmarła na krzyżu, pozostałe dwie przeżyły i podtrzymywały świat w istnieniu aż do zmartwychwstania”. Gdy chodzi o pojęcie Trójcy, ta odpowiedź sięga granic fantazji.

Wybrałem trzy przykłady z całego mnóstwa, świadczące o tym, że ludzie świeccy zbyt często wykazują całkowity brak zrozumienia doktryny o Trójcy Świętej, a już z pewnością nie potrafią nikogo dla niej zdobyć. Trójca *j e s t* Bogiem; co nie jest Trójcą, nie jest Bogiem. Żołnierz Kościoła nie będzie zdolny do skutecznej walki, jeśli bardziej się nie postara.

Jest pewna grupa ludzi, w stosunku do której nasza nieumiejętność mówienia o Trójcy Świętej jest szczególnie zawstydzająca i zgubna – mianowicie Żydzi. Żydzi są monoteistami do szpiku kości, a doktryna o Trójcy Świętej stoi im

ością w gardle, dlatego że wydaje się przeczyć jedności Boga, której oni trzymają się od wieków i tysiącleci. Jeśli pytają o nią swoich katolickich przyjaciół, to ci albo nie chcą nic powiedzieć, albo rozpoczynają wyjaśnienia, które tylko utwierdzają Żydów w przekonaniu, że katolicy wierzą w trzech Bogów, gdyż nazywają Bogiem Ojca, Syna i Ducha Świętego, a jednocześnie zupełnie nie potrafią wyjaśnić, jak ta Trójca może być jednym Bogiem.

Nie twierdzą oczywiście, że każdy katolik powinien potrafić dać pełne teologiczne wyjaśnienie tego bądź innego kościelnego dogmatu. Jednak jako żołnierz ponosi klęskę, jeśli nie będzie umiał mówić o nich inteligentnie ani przekazywać w wystarczającym stopniu ich sensu i wagi. Powinien potrafić przynajmniej wzbudzić zainteresowanie i może zachęcić rozmówcę, by po dalsze wyjaśnienia udał się do księdza.

My, świeccy, chętnie pocieszamy się zapewnieniem, że teologia jest dla księży, a my spełniamy swój obowiązek, tylko dając dobry przykład. Byłby to jednak bardzo nietypowy żołnierz, gdyby jego obowiązkiem było jedynie dawanie dobrego przykładu. Powinniśmy to robić i ma to ogromne znaczenie, ale samo w sobie nie wystarcza. Niewierzący są często pod wrażeniem dobroci, życzliwości i altruizmu katolików, których spotykają na swojej drodze – do tego stopnia, że zastanawiają się, czy ich wspaniałość ma coś wspólnego z ich religią. Dlatego proszą, by im tę religię wyjaśnić. Jeśli otrzymują inteligentną i przekonującą odpowiedź, wtedy skutki są bardzo dobre. Epizod może zakończyć się tym, że niewierzący uzyska wyjaśnienie od księdza. Lecz jeśli słyszą nonsensy, wtedy niewierzący mogą jedynie odejść, tak samo jak wcześniej przekonani o dobroci katolika, lecz nie o tym, że ma ona jakiś związek z wyznawaną przez niego wiarą.

Doświadczenie pokazuje, że my, świeccy, niezbyt często uczymy prawd wiary naszych znajomych. Co ważniejsze, naszej nieumiejętności nauczania nie postrzegamy jako zaniedbania obowiązku. Jeśli się zdarzy, że w jakiejś przypadkowej grupie – zebranej w mieście, pociągu, samolocie czy na statku – znajdzie się komunista, to wszyscy natychmiast o tym wiedzą. Jeśli znajdzie się tam katolik, to istnieje prawdopodobieństwo, że nikt tego nie odkryje. Komunista jest ogarnięty pasją, aby szerzyć swoją doktrynę, którą uważa za prawdziwą. Katolik nie ma takiej pasji. Nie chodzi o to, że my kochamy swoją wiarę mniej, niż komunista kocha swoje przekonania. Istnieje inna próba miłości poza chęcią pozyskania nawróconych, mianowicie gotowość do śmierci. Katolicy zawsze wykazywali tę gotowość w najbardziej heroicznej postaci. W tych częściach świata, gdzie trzeba umrzeć za wiarę, Kościół ma swoich męczenników.

Gdzie indziej jednak tak nie jest. Kościół potrzebuje nie naszej śmierci, ale świadectwa, świadectwa życia i wypowiedzi.

Dlaczego my, świeccy, nie dajemy świadectwa poprzez głoszenie słowa? Niemal zawsze człowiek świecki będzie opowiadał się za prawdą nie po to, by przekonać do niej innych – ta myśl rzadko pojawia się w jego głowie – ale po to, by bronić jej przed atakiem. Dlaczego milczy? Zwykle dlatego, że nie czuje się wystarczająco biegły, boi się, że jeśli wda się w spór, przegra. I tak prawdopodobnie by było. Dlaczego jednak nie jest przygotowany do tego najbardziej podstawowego obowiązku? Dlatego że większość katolików nie rozumie natury tej wojny, ani tego, jak mogliby pomóc w jej wygraniu.

Niedostrzeżenie tak oczywistych faktów oznacza, że nie mają oczu do patrzenia. „Jeśli nie używamy oczu do patrzenia, będziemy ich używać do płakania”. Kościół, jak wiemy, musi w końcu zatryumfować. Ale w jakimś momencie czy czasie może ponieść klęskę. A w naszych czasach i miejscu nie wygląda na zwycięzcę.

Nie potrzeba eksperta wojskowego, aby przewidzieć wynik wojny, w której większość żołnierzy nie walczy lub w ogóle nie wie, że toczy się jakaś wojna. Najważniejsi są oficerowie i istotne jest posłuszeństwo wobec nich. Lecz armia, w której walczą tylko oficerowie, nie odniesie widocznych sukcesów w żadnej wojnie. A co dopiero w tej wojnie, którą Kościół toczy o dusze ludzkie. Olbrzymie rzesze ludzi, o których walczymy, nigdy bowiem nie spotkały oficera ani nie słyszały jego głosu. Spotykają nas. Lecz byłoby to zbyt wiele, gdybyśmy powiedzieli, że słyszą nasz głos.

2.

Człowiek świecki jest nie tylko żołnierzem, lecz także człowiekiem. Jak na każdej wojnie, to, jakim będzie żołnierzem, zależy od tego, jakim jest człowiekiem. Mówiliśmy już o tym, co katolik powinien robić, aby pomóc w zbawieniu innych. Teraz powiemy o tym, co powinien robić na polu doktryny dla własnego duchowego dobra, swego rozwoju jako członka Ciała Chrystusa. Zaczniemy od najbardziej podstawowego poziomu.

Każdy człowiek jest połączeniem ducha i materii, duszy i ciała. Jeśli o to chodzi, nie ma różnicy między świeckim a księdzem, każdy z nich ma tę samą strukturę ludzką, te same ludzkie potrzeby. Jako przedmiot materialny ciało księdza nie różni się niczym od ciała człowieka świeckiego. Każde potrzebuje pokarmu i bez niego zginie; jedno i drugie potrzebuje światła i bez niego nic nie widzi.

Wszystko to jest tak oczywiste, że być może macie wrażenie, iż ten podstawowy poziom sprowadziłem do skrajności. Wydaje się to tak elementarne, że nie ma potrzeby o tym mówić. Prowadzi jednak do czegoś równie elementarnego, a jednak nie zawsze uświadamianego sobie przez ludzi świeckich. Wiedzą oni, że jako przedmiot materialny ciała księdza i świeckiego nie różnią się. Nie zawsze zastanawiają się nad tym, że jako przedmiot duchowy dusze księdza i świeckiego również się niczym nie różnią. Każda z nich jest duchem, który jest zasadą życia w ciele, każda ma zdolności intelektu i woli, każda jest w kontakcie ze światem zewnętrznym za pośrednictwem zmysłów cielesnych. Z tego wynika, że każda ma te same potrzeby – te same osobiste potrzeby, oczywiście, a nie te same potrzeby urzędowe. Ksiądz sprawuje urząd, którego nie ma człowiek świecki, oraz ma władzę i obowiązki, które z tego urzędu wynikają. Nie ma jednak różnicy w tym, czego potrzebują ich dusze, gdyż są to tak samo dusze ludzkie.

Weźmy najbardziej oczywisty przykład. Wszystkie dusze, świeckie i duchowne, potrzebują chrztu, bierzmowania, sakramentu pokuty, Eucharystii, namaszczenia chorych. Z powodu swych szczególnych obowiązków w Kościele ksiądz potrzebuje święceń kapłańskich. Z powodu innej, mniejszej roli, od której jednak zależy kontynuacja Kościoła, człowiek świecki potrzebuje sakramentu małżeństwa.

I wszystkie dusze, dlatego że są duszami ludzkimi, potrzebują prawdy, prawdy objawionej. Ponieważ ksiądz ma oficjalny obowiązek nauczania tej prawdy, ma też większą powinność poznawać ją i uczyć się ją głosić. Lecz prawda objawiona jest tak samo dobra dla niego jak dla wszystkich dusz, wszystkie jednakowo ponoszą stratę, gdy jej nie posiadają lub posiadają w mniejszym stopniu, niż to możliwe.

Prawda jest nie tylko bronią wykorzystywaną w wojnie o dusze innych. Jest pokarmem i światłem dla umysłu i bez niej nasz umysł musi znosić głód i ciemność.

Jest pokarmem. Chrystus cytował Szatanowi Księgę Powtórzonego Prawa: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych” (Mt 4,4). Słowa, które wypowiada Bóg – przykazania dla naszych działań i prawdy dla naszego widzenia – są bardziej życiodajne, bardziej karmiące niż chleb, którym żywi się ciało. Intelekt bowiem istnieje po to, by poznawać prawdę i nic innego nie może go nakarmić, lecz sam nie może odkryć prawd najwyższych. Intelekt może je poznawać i się nimi karmić, tylko jeśli Bóg mu je objawi. Cechą pożywienia jest to, że może ono nasycić jedynie tych, którzy je

spożywają. Nie zaspokoi naszego głodu pożywienie, które zjadł ktoś inny. Tylko prawdy, które przetrawił nasz własny umysł, mogą ten umysł nakarmić. Teologia, znana teologom, nie pożywi człowieka świeckiego, jeśli on sam jej nie pozna. Osobista potrzeba jego duszy, by zostać nakarmioną, jest jednak równie wielka jak potrzeby dusz teologów.

Prawda jest więc pokarmem. I jest także światłem. Gdy ją posiadamy, widzimy rzeczywistość taką, jaka ona jest, mentalnie żyjemy w świecie rzeczywistym. Jak możemy zobaczyć rzeczywistość taką, jaka jest? Większej jej części nie możemy zobaczyć oczami ciała. Nasze oczy nie są w stanie widzieć Boga ani porządku duchowego, ani świata, który ma nadejść. I choć umysł, wykorzystując swe naturalne zdolności, może coś zobaczyć, to jednak jest to tylko niewielki fragment rzeczywistości. Większą część może poznać jedynie wtedy, jeśli Bóg mu ją objawi. Ludzie nieznający rzeczy, które można poznać tylko dzięki objawieniu, żyją na przedmieściu rzeczywistości. Godne ubolewania jest to, że żyją, myśląc, iż jest to cała rzeczywistość.

Człowiek odcięty całkowicie od prawdy objawionej wie życie w głodzie i ciemności. Katolik nigdy nie znajdzie się aż w takiej nędzy. Jego pokarmem jest Eucharystia i zawsze dociera do niego jakaś część prawdy objawionej. Jeśli jednak nie pojmie rzeczywistości, którą mają przed nim odsłonić prawdy wiary, to w najlepszym razie będzie wiódł życie w niedożywieniu i półmroku. Różnica między człowiekiem niewierzącym, który nie przyjmuje doktryny o Trójcy Świętej, a katolikiem, który ją przyjmuje, ale jej nie rozumie, nie jest aż tak wielka, jak nam się wydaje. Jeśli przyjmujemy tę doktrynę jako prawdę – i nawet jesteśmy jej oddani – lecz nie rozumiemy, co ona oznacza, nie możemy być przez nią karmieni, nie możemy otrzymać od niej światła.

Człowiek, który tak postępuje, jest religijnym analfabetą. Przed wynalezieniem druku analfabetyzm był czymś niemal powszechnym, nawet szlachta czy królowie nie potrafili czytać. Umieli czytać tylko duchowni. W porządku świeckim stan ten przeminął. W porządku religijnym jednak pozostał – tylko duchowieństwo potrafi czytać. Oczywiście niektórzy świeccy też potrafią, ale stanowią niewielki procent w stosunku do całości, co nie zmienia ogólnej reguły.

Analfabetyzm religijny był czymś złym w czasach, gdy praktycznie nikt nie potrafił pisać ani czytać. To jednak, z czym mamy do czynienia dzisiaj, jest dziwne i bardziej niebezpieczne. Mieć wykształcenie świeckie i być religijnym analfabetą to zakłócenie równowagi w człowieku. To tak, jakby miał on dwoje oczu, które się rozbiegają – silne oko, które widzi życie, tak jak je postrzega

świat, i oko słabe, które widzi życie takim, jakim je głosi wiara. Istnieje prze-
można pokusa, by jedno oko przymknąć, oczywiście to słabsze.

Nie jest konieczne, mówimy na swoją obronę, aby człowiek świecki znał teologię. Najważniejsza jest miłość. Czy jednak można kochać Boga i równocześnie nie chceć Go poznać? Miłość pragnie poznania, a poznanie służy miłości. Każda prawda, której uczymy się o Bogu, jest kolejnym powodem, by Go kochać. W końcu powodem naszej miłości do Boga nie jest to, że kochają Go nasi nauczyciele i mówią nam o swojej miłości. Powodem jest to, że Bóg jest godny miłości, a możemy to poznać tylko dowiadując się, kim On jest. Miłość powinna obejmować nasze uczucia, ale nie może mieć w nich swoich korzeni. Miłość, aby była w pełni miłością, i to miłością niezniszczalną, musi wiązać się z poznaniem.

To, co powiedzieliśmy o miłości Boga, odnosi się do każdej miłości – na przykład Chrystusa i jego Matki. Odnosi się do ukochania mszy świętej. Najwyższą funkcją religijną człowieka świeckiego jest jego udział – choć mniejszy niż księdza – w ofierze mszy świętej. Ilu z nas jednak postrzega to jako najważniejszą rzecz w swoim życiu? Wielu z nas uważa, że nie warto chodzić na mszę w dzień powszedni, jeśli z jakiegoś powodu nie możemy przystąpić do Komunii.

Zwróćcie uwagę na zwrot „iść na mszę”. Jest żałośnie nieadekwatny. Sugeruje, że robimy, co do nas należy, będąc na mszy. My jednak nie mamy tylko siadać, wstawać, klękać pobożnie, podczas gdy odbywa się ofiara mszy. My mamy tę ofiarę składać. I jeśli się nie dowiedzieliśmy, czego Kościół naucza o Trójcy Świętej, wcieleniu i odkupieniu, nie zrozumiemy, co podczas mszy jest ofiarowane, k o m u i d l a c z e g o. Nie wiemy, co robimy – stan nie do pomyślenia dla składającego ofiarę.

Powróćmy do naszego pierwszego pytania: jakiego rodzaju żołnierzem jest niedouczony religijnie katolik? To ktoś potykający się w ciemności, niezający sobie nawet sprawy z tego, że jest ciemno, niedożywiony i nieodczuwający głodu, niepotrafiący pokazać innym, czym jest rzeczywistość. Tylko ludzie żyjący w pełnej rzeczywistości są przygotowani, by pokazać ją innym i przekonać ich, aby także chcieli w niej żyć. Na tym właśnie polegają działania wojenne Kościoła.

Posłowie

Teologia dla początkujących ukazała się po raz pierwszy w 1957 roku, na pięć lat przed rozpoczęciem Soboru Watykańskiego II. Przywołanie tego prostego faktu wyjaśnia, dlaczego „teologiczny krajobraz” przedstawiony w tej książce, widziany z dzisiejszej perspektywy, wydaje się dobrze znajomy, a jednak, przynajmniej miejscami, nieco obcy. „Obcy” to chyba niewłaściwe słowo, chodzi tu raczej o różnicę podobną do tej, którą znamy z obrazów impresjonistów: ten sam pejzaż malowany o różnych porach dnia wygląda podobnie, choć zawsze inaczej.

Tak jak odmienne oświetlenie wydobywa z tych samych przedmiotów inne kolory i detale, inaczej kładzie cienie i tworzy atmosferę całości, podobnie jest w przypadku *Teologii dla początkujących*. Przez ponad pół wieku, które minęło od jej powstania, wiara Kościoła pozostała w swojej istocie niezmienna i ma ten sam „przedmiot” – otrzymane objawienie, Ewangelię Chrystusa, który jest „ten sam wczoraj i dziś, i na wieki” (por. HBR 13,18). Jednocześnie w nauczaniu Kościoła nastąpiły rozmaite przesunięcia akcentów, a także po prostu pewien rozwój, tak jak na niego pozwalało światło Ducha Świętego. Zmiany dotyczyły nie tylko nauczania wiary przez Kościół, lecz także poszukiwań prowadzonych przez teologów w obrębie tej wiary i stąd nieco odmienny „koloryt” książki Sheeda w porównaniu ze spojrzeniem na te same prawdy z dzisiejszej perspektywy. Wymieńmy zatem niektóre z różnic, składających się na klimat całości.

Pierwszą sprawą, na którą warto zwrócić uwagę, jest tomistyczne – lub szerzej – neoscholastyczne „tło” teologicznego krajobrazu, związane ze źródłami, z których czerpał autor. Jest ono dostrzegalne w wadze przywiązywanej do metafizyki (w sensie filozoficznym), w dyscyplinie i logice wywodu, w staraniu o jasne używanie pojęć (takich jak natura, osoba, władze duszy), ale też w pewnej schematyczności czy „suchości”. Nawiązujący do św. Tomasza z Akwinu sposób myślenia był przed Soborem tym elementem dziedzictwa

teologii katolickiej, który sprzyjał jej jedności. Dyskusje teologów odbywały się jeśli nie na wspólnym gruncie, to przynajmniej przy wspólnym odniesieniu do „tła intelektualnego”, które stanowiła teologia Akwinaty. W czasie po Soborze rozszerzyła się wolność poszukiwań teologicznych, chętnie szukano przy tym nowych inspiracji filozoficznych, a jednocześnie stracone zostało to intelektualne „wspólne tło” charakterystyczne dla wcześniejszego okresu.

O tym zróżnicowaniu utrudniającym niekiedy poszukiwanie jedności mówił Benedykt XVI w swoim wystąpieniu z okazji 50-lecia Międzynarodowej Komisji Teologicznej, która po Soborze została w Kościele powołana jako instytucja skupiająca teologów z różnych szkół i stron świata, mających stanowić swoistą „grupę ekspercką” dla Kongregacji Nauki Wiary. Papież emeryt przyznał, że „pomimo podjętych starań Komisji Teologicznej nie udało się doprowadzić do unifikacji teologii i środowiska teologów”, chociaż dla niego osobiście praca w niej była źródłem radości ze spotkania „innych języków i form myślenia”¹.

Sheed „maluje” więc krajobraz teologiczny na ówczesnym „wspólnym tle”, a niektóre jego detale mogą dziś zaskakiwać; przykładem te fragmenty, w których mowa o „duszy” jako zasadzie życia wszystkich istot żywych, także roślin i zwierząt (choć oczywiście pojawia się przy tym wyjaśnienie, na czym polega specyfika duszy ludzkiej).

Drugim obszarem, w którym od czasu powstania książki zaszły zauważalne zmiany, jest liturgia. Autor nawiązuje do niej w wielu miejscach, pisząc o jej znaczeniu czy wspominając konkretne modlitwy lub obrzędy. Niektóre z przywoływanych przez niego modlitw znajdowały się tylko w „mszy przedsoborowej”, czyli mówiąc z dzisiejszej perspektywy, należą one do „formy nadzwyczajnej rytu rzymskiego”, a nie ma ich w dzisiejszym mszale, czyli w obecnej „formie zwyczajnej” liturgii rzymskiej.

Co do innych sakramentów, które zwięźle omawia Sheed, to zmienił się obrzęd namaszczenia chorych. W tłumaczeniu zawarliśmy opis obecnie używanego, podczas gdy Autor w oryginale odnosi się do dawnego obrzędu namaszczenia, w którym namaszczone były organy zmysłów i towarzyszyła temu modlitwa o odpuszczenie grzechów popełnionych w związku z tymi zmysłami.

Jeśli chodzi o istotny sens liturgii, a zwłaszcza o tajemnicę Eucharystii, to pozostają one niezmiennie, choć dziś większy akcent Kościół kładzie na udział wier-

¹ http://www.vatican.va/roman_curia/congregations/cfaith/cti_documents/rc_cti_20191022_saluto-bxvi-50ann-cti_fr.html (dostęp: 09.05.2020), skrót w jęz. polskim: <https://www.vaticannews.va/pl/watykan/news/2019-11/benedykt-xvi-do-komisji-teologicznej.html> (dostęp: 09.05.2020).

nych świeckich w sprawowaniu Eucharystii. Ponadto wyraźniej dostrzega, że jest ona nie tylko „ofiara”, ale też „uczta”: „Msza święta jest równocześnie i nierozdzielnie pamiątką ofiarną, w której przedłuża się ofiara Krzyża, i świętą ucztą Komunii w Ciele i Krwi Pana” (KKK 1382).

W samym odczytywaniu znaczenia ofiary dokonała się również pewna zmiana. Sheed, zgodnie z ówczesnie dominującą opinią, pisze o konieczności zniszczenia lub uśmiercenia ofiarowanej rzeczy jako o czymś należącym do istoty ofiary w świecie po grzechu pierworodnym. Dziś mocniej zaakcentowalibyśmy to, że ofiara jest przede wszystkim darem przekazywanym Bogu (a podstawowym jej rodzajem jest ofiara uwielbienia, nie zaś przebłagalna), a destrukcja daru ofiarnego jest czymś, co temu przekazaniu jest podporządkowane.

Jeszcze jedną sferą, o której warto wspomnieć, gdy myślimy o zmieniającym się z biegiem czasu „oświeceniu” prawd wiary, jest Kościół.

Obrazem Kościoła, na którym Sheed się skupia, jest wspaniałe, zaczerpnięte z listów św. Pawła przyrównanie go do Ciała Chrystusa. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że książka ukazała się stosunkowo niedługo po encyklice Piusa XII *Mystici Corporis Christi* rozważającej właśnie ten wątek teologiczny. Czytelnika może jednak zaskoczyć, a nawet nieco drażnić, drugi wyrażnie u Sheeda obecny element opisu Kościoła, to znaczy dość konsekwentnie używane metafory militarne: Kościół walczący jest armią, złożoną z oficerów i szeregowców, a ci ostatni (czyli świeccy) powinni być odpowiednio wyćwiczeni do walki... Obraz *ecclesia militans* jest wspomniany w Piśmie Świętym² i obecny w tradycji, a Sheed wyjaśnia, jak w tym wypadku należy rozumieć walkę, która nie sprzeciwia się miłości bliźniego, ale jest to jedno z tych miejsc, gdzie szczególnie wyraźnie wyczuwa się piętno czasu, który upłynął od powstania *Teologii dla początkujących*.

Dziś, myśląc o Kościele, należałoby dla uzupełnienia dodać przynajmniej dwa ważne jego określenia. Pierwsze to „Lud Boży”, które to określenie odgrywa ważną rolę w tekstach Soboru Watykańskiego II, a dziś jest mocno akcentowane przez papieża Franciszka. Nawiązuje ono do Izraela prowadzonego przez Boga po pustyni. Kościół jako Lud Boży to odnowiony Izrael, co podkreśla między innymi jego wspólnotowy wymiar. Drugie określenie jest w podob-

² Św. Paweł pisze do Tymoteusza: „Weź udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa!” (2 TM 2,3). Metafory militarne w odniesieniu do Kościoła są jednak mniej obecne w Nowym Testamencie niż obraz ciała.

nym duchu, chodzi mianowicie o Kościół jako „komunię” (*communio*), czyli wspólnotę, której istotą jest jedność oparta na miłości.

Ostatnia kwestia, która jest nieobecna w obrazie Kościoła odmalowanym przez Sheeda przed półwieczem, a wyraźnie widoczna później, to ekumenizm. Autor odnosi się do innych chrześcijan z pełnym szacunkiem. Jednocześnie nie było wtedy jeszcze tak jasne jak dziś, jak ważnym zadaniem jest szukanie jedności chrześcijan. To pragnienie jedności wzrastało z czasem, a droga do jej urzeczywistnienia zaczęła być w Kościele katolickim rozumiana z większą pokorą. Nie chodzi już po prostu o wzywanie czy zachęcanie innych chrześcijan „do powrotu”, ale raczej o wspólną drogę braterskiego spotkania i rozmowy, prosząc Ducha Świętego o prowadzenie.

Tak pokrótce można wskazać niektóre „zmiany światłocienia” w krajobrazie przedstawionym przez Sheeda i widzianym z dzisiejszej perspektywy. Zresztą pewne zmiany dostrzegali już autorzy pierwszego polskiego wydania książki z 1962 roku, które ukazało się w krakowskim „Znaku”. Wydawca pisał wtedy: „(...) wierność wobec tradycyjnego sposobu wykładania teologii spowodowała także pewną jednostronność książki Sheeda: nie zawsze odczuwamy dosyć wyraźnie związek jego wykładu z Biblią i myślą Ojców Kościoła. Sheed nieustannie odsyła do lektury Pisma Świętego – to bardzo ważne. Ale miejscami cytaty z Pisma nie tyle stanowią o klimacie jego książki, ile podpierają racjonalną jej argumentację”³.

„Znak” zdecydował się na dość swobodny przekład, pominął pierwszy rozdział, wprowadził pewne skróty w tekście, a także miejscami go uzupełnił (domyślamy się tu pracy ks. Andrzeja Zuberbiera, który był redaktorem książki). Nasze, nowe tłumaczenie, stara się zachować całkowitą wierność oryginałowi, tak że można je uznać za pierwsze polskie pełne wydanie *Teologii dla początkujących*.

Po tych wszystkich uwagach warto podkreślić, że sposób, w jaki został w książce Sheeda przedstawiony „teologiczny krajobraz” katolickiej wiary, wydaje się dziś niezwykle potrzebny. Potrzebny przede wszystkim ze względu na rzadko obecnie spotykaną intelektualną i duchową „przejrzystość powietrza”. Przejrzystość w tej książce pozwala czytelnikowi sięgnąć wzrokiem daleko w stronę tajemnic wiary, takich jak Trójca Święta czy życie w łasce Bożej. Pozwala je poznawać i uczy „uzasadniać tę nadzieję, która w nas jest” (1 P 3,15).

MICHAŁ GOLUBIEWSKI OP

³ F.J. Sheed, *Teologia dla początkujących*, przeł. A. Morawska, Znak, Kraków 1962, s. 6–7.

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Druk i oprawa: OFICyna WYDAWNICZA READ ME, Łódź

Wydrukowano na LUX CREAM 80 g, vol. 1,6